

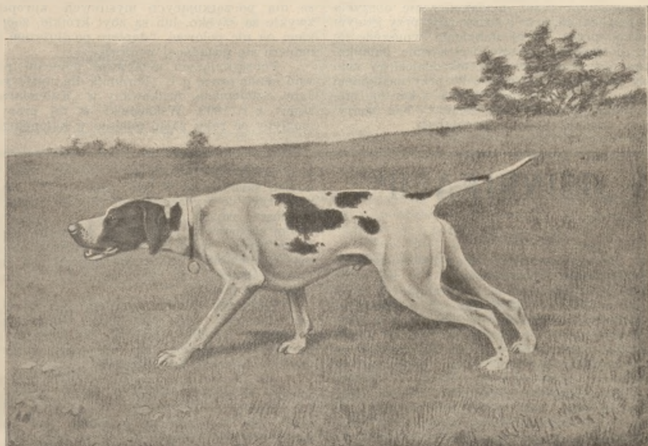
Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 169.

№ 7. Warszawa, 1 kwietnia 1906 r. Rok VIII.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.



Pointer.

WIKTOR STEPHAN.

KUROPATWA.

(*Ciąg dalszy*).

Co się tyczę sprowadzania kuropatw, to dla naszego kraju najlepiej sprowadzać je z północnych Węgier, są bowiem silnej budowy i bardzo płodne.

Kuropatwy od handlarzy zwierzyny kupować można od sierpnia do końca marca, cena ich jednak z każdym miesiącem wzrasta, i tak:

W sierpniu żądają za parę mniej więcej	1.75	k.
We wrześniu " " "	1.85	"
W październ. " " "	2.20	"
W listopadzie " " "	2.65	"
W grudniu " " "	3.10	"
W styczniu " " "	3.60	"
W lutym " " "	4.00	"
W marcu " " "	5.20	"

Za same kury żądają podwyżki wykazanych cen o 25 %.

Zależnie zatem od naszego przygotowania do przyjęcia kuropatw, wybieramy najwcześniejsze i najtańsze kupno, lub wyczekujemy miesiąca lutego, a w łagodne zimy końca stycznia, i kupione kuropatwy puszczamy zaraz po przybyciu na wolność, przygotowawszy poprzednio zasypy w remizach i wszystko, co im w nowem miejscu pobyt może uprzyjemnić.

Przesyłkę uskutecznić najlepiej w nizkich, łubianych koszach, maksymalnie po 10 sztuk razem. Kosze łubiane niekoniecznie wymagają obicia ze słomy, lub siana, wierzch kosza atoli musi być koniecznie miękki, a zatem najlepiej płótnem okryty.

Do kosza można kuropatwy ładować górą, otworem, pozostawionym przez niedokończenie obszycia płótnem, lepiej jednak, jeżeli kosze mają przy jednym boku zasuwkę, przez której uchylenie wpuszcza się kuropatwy, a następnie zasuwa i stosownie zamyka.

Zasuwa przy koszu nie ma tak doniosłego znaczenia przy pakowaniu kuropatw, ile przy następnem wypuszczaniu jest bardzo praktyczna i kur nie niepokoi, bo odrazu, po uchyleniu zasuwy, bez podrywania się na nogach, spokojnie wyciekają.

Przed ładowaniem do przesyłki należy kuropatwy dobrze nakarmić i napoić, a jeżeli mają być dzień lub dwa w drodze, to czas ten wytrwają bez pożywienia bardzo dobrze. Dłuższy, aniżeli 2-dniowy przewóz wymaga karmienia, a przynajmniej pojenia na postojach pośrednich.

Po przybyciu na miejsce przeznaczenia, bez względu na to, czy kuropatwy wypuszczamy na wolność, czy też mamy zamiar pewien dłuższy czas przechować je w kuropatwiarni, należy przedewszystkiem spragnionym ptakom podstawić wodę.

Na kilka dni nie należy w żadnym razie zostawić kuropatwy w domu, zwłaszcza, jeżeli niema kuropatwiarni, bo następne łapanie niepotrzebnie płoszy i bardzo męczy kury.

Jeżeli w remizie niema naturalnego zbiornika wody, to przysposobić należy nizkie korytko, odpowiednio w ziemię go zakopać, tak, żeby umożliwić dostęp kuropatwom, i przed ich wypuszczeniem napełnić go świeżą wodą.



Kosz do przesyłki kuropatw.

Że następnie świeżo sprowadzone i wypuszczone kuropatwy należy mieć w ciągłej pieczy, rozumie się samo przez się.

W tem miejscu na wstępie muszę zaznaczyć, że dla początkujących myśliwych kuropatwy lecą zwykle za szybko, lub są zbyt krótkie, żeby ze skutkiem na nie polować, i dopiero po dłuższem ćwiczeniu nabiera się pożądanej wprawy.

Początkującym myśliwym polecam przestudyować cenną pracę p. t. „Poradnik dla myśliwych“ przez Jana Sztolcmana, drukowany w „Kalendarzu myśliwskim“ z r. 1900. Wskazówki w tej pracy podane, mogłyby co roku zająć miejsce w kalendarzu, w celu

NA „OSINNIKACH“.

(*Ciąg dalszy*).

Teraz przeciwnie zdawało się, iż wszystko zamarło. Koło ludzkich mieszkań nawet i o tej porze roku słychać to krakanie wron, przelatujących z pól do lasów, to krzyki kawek siedzących niewielkiemi stadkami w gałęziach wielkich lip ogrodu, a w wielkim lesie panuje martwa cisza, żaden ptaszek się nie odezwie, chyba gdzieś zapiszczy mała sikorka lub zapuka w pusty pień dzięcioł. Niedługo czekałem, po chwili usłyszałem tuż za sobą silne łopotanie. Odwróciłem się, ale nie mogłem nic dojrzeć. Siedzę cicho i czekam; po upływie paru minut coś zaruszało się nagle na gałęzi osiny, oddalonej odemnie na jakie czterdzieści kroków, i wówczas ujrzałem głuszca, posuwającego się po gałęzi od pnia ku liściom. Wziąłem go na cel, strzeliłem i usłyszałem, jak piękny ptak z łomotem zwalił się na ziemię. Dym od strzału w wilgotnem, jesiennem powietrzu nie rozchodził się, lecz stał w miejscu, jak biało-sinawa opona. Podszedłem do zabitej sztuki, był to młody, tegoroczny kogut, ale już czarny. Ważył, jak się później okazało, 7 i pół funtów. Przymocowawszy go u torby, ruszyłem wolnym krokiem w stronę noclegu. Zmierzchało się szybko. Raptem usłyszałem w oddali przedemną odgłos jakby uderzenia o siebie dwóch kijów. Począłem powoli skradać się w tym kierunku. Po chwili odgłos powtórzył się wyraźniej; nie ulegało wątpliwości, że to głuszec zajada najspokojniej liście osiny [1]). Podkradałem się powoli, tymczasem ściemniło się na tyle, że ze zgrozą spostrzegłem, iż głuszca dopatrzeć będzie niemożliwie. Jakoż podszedłem pod drzewo, na którem siedział, ale było już na tyle ciemno, że go ujrzeć nie mogłem.

Zadarłszy głowę, ujrzałem, jak mi się zdawało, coś ciemnego, więc strzeliłem. Głuszec zerwał się z wielkim łopotem i poleciał. Po furkocie poznałem, że była to głuszyca, tem też sobie wytłómaczyłem, żem nie usłyszał, jak zapadała.

Na nocleg przeznaczyłem sobie znane mi już miejsce na małej wysepce na mchu. Wysepka ta nosi nazwanie „Czortow ostrów“, pomimo to jednak nocować tam jest bardzo wygodnie pod rozłożystym świerkiem, którego gałęzie, spuszczające się do samej ziemi, tworzą jakby namiot. Gdym doszedł do brzegu mchu, było już zupełnie ciemno. Niebo usiane było milionami gwiazd, pośród których wyraźnie występowała mleczna droga. Posuwałem się powoli brzegiem mchu, gdy wtem na zakręcie błysnęło coś i ujrzałem na brzegu lasu rozpalone, wielkie ognisko i krzątającego się koło niego, człowieka; w tejże chwili posłyszałem szczekanie psa, który, zerwawszy się z przed

[1]) Dźwięk powstaje przy odrywaniu liścia od gałązki.

jaknajszerszej popularyzacyi, są bowiem dla każdego myśliwego niezbędne.

Pomieniona praca po za słowem wstępnem obejmuje siedm rozdziałów, a mianowicie:

1) Broń. 2) Praktyczny sposób próbowania broni śrótowej. 3) Teorya strzelania do lotu i biegu. 4) Pies. 5) Ubranie. 6) Na stanowisku. 7) Kilka reguł etycznych.

Szczególnie ostatni rozdział może się przydać nawet już wytrawnym myśliwym, a końcowych 16 reguł, które autor za rodzaj katechizmu przyjąć zaleca, każdy myśliwy powinien mieć w pamięci.

Przystępując do opisu zachowania się kuropatwy po strzale, dodaję przedtem, że na kury używany jest powszechnie cienki śrót, strzelać bowiem nie należy na dalszą odległość, jak 30 do 60 kroków. Bliższe strzały są również nie do zalecenia, bo się zwierzynę rozbija, czyli na części porozstrzela. Jeżeli więc kuropatwy zerwą się blizko, należy je wypuścić, czyli dozwolić odlecieć na pożądaną odległość strzału.

Ponieważ numeracya śrótu nie jest ujednostajnioną i każda fabryka ma swoją własną, więc trudno się zoryentować, jaka właściwie grubość odpowiada danemu numerowi i którego numeru śrótu użyć do ładunków na kury.

Zamiast numeru, oznaczę lepiej ilość śrócin, i tak do ładunku np. 12 cal. użyć należy względnie do pory od 450 do 500 śrócin, które nb. muszą być w stosunku do wagi prochu.

Prochu czarnego używa się zwykle 5 gramów, więc śrótu należy użyć pięć razy tyle, czyli 30 gramów, w których owe 500 ziarn śrótu mieścić się powinno.

W październiku lub w listopadzie, kiedy kuropatwy zmieniają pola, wskutek czego stają się harde i dalej brykają, należy używać stosownie grubszego śrótu.

(*C. d. n.*).



Przegląd krajowych ssaków łownych.

(Ciąg dalszy).

Lis (*Canis vulpes* lub *Vulpes vulgaris*) zamieszkuje cały obszar naszego kraju. W ostatnich latach dwudziestu, dzięki zaprowadzeniu u nas systematycznego gospodarstwa łowieckiego w znacznej części większych posiadłości, oraz idącemu w parze, tępieniu tego szkodnika, liczba lisów znacznie się zmniejszyła, co niewątpliwie przyczyniło się do rozmnoży takiej zwierzyny, jak zające, kuropatwy, bażanty, cietrzewie, a nawet sarny; z drugiej jednak strony pozbawiło nas, myśliwych, częstej okazyi spotkania się na polowaniach z tak mile widzianym zwierzem, jakim jest mykita. W celu dostarczenia myśliwym tak wielkiej przyjemności, jak zabicie lisa, niektóre majątki, jak np. ordynacya Łańcucka w Galicyi, zaprowadziły w wyjątkowych rewirach prawidłową hodowlę tych zwierząt, gdzie lisy są odpowiednio karmione i ochraniane. W Łańcucie na dwudniowem polowaniu pada średnio 60 sztuk tej zwierzyny.

Jedyny, realny użytek, jaki z lisa mamy, jest jego futro — ciepłe, puszyste, lekkie i względnie trwałe. Syberyjskie lisy posiadają włos bardziej puszysty od włosu naszych lisów i dlatego tamtejsze skórki są więcej od naszych cenione. Największej jednak ceny dochodzą t. zw. lisy czarne, które nie są bynajmniej oddzielnym gatunkiem, lecz tylko melanistyczną odmianą lisa zwyczajnego. Skórka lisa czarnego dochodzi nieraz ceny 400 i 500 rubli i jest uważaną za jedno z najozdobniejszych futer. Lisy czarne, jakkolwiek wszędzie nader rzadkie, trafiają się jednak częściej na Syberyi, aniżeli w Europie. U nas raz jeden zdarzyło mi się słyszeć o tej odmianie w ósmym dziesiątku lat ubiegłego stulecia, a mianowicie opowiadano mi, że w Mławskiem widziano całe gniazdo czarnych lisów — sztuk 4 czy 5, — z których dwa nawet zabito; naocznie jednak o autentyczności tego faktu nie miałem okazyi się przekonać. Oprócz odmiany czarnej, trafia się też odmiana albinistyczna, czyli biała. Okaz takiego lisa zabity został przed kilkuna-

---

ogniska, wyciągnął w moją stronę swoją ostrą mordę z groźnem warczeniem. Któż opisze moją radość, gdy poznałem w człowieku tym znajomego już czytelnikom, Hrehora Odynaka, nocującego w lesie ze swoim Żuczkiem.

W parę minut później siedziałem koło ognia, Hrehor zaś i Żuczek oglądali zdobytego przezemnie głuszca.

— A nie słyszeliście, jak strzelałem?—spytałem go.

— A ot niedawno tylko strzał był, to ja już tu siedziałem, tak myślę sobie, któż to tam łupi po ciemku.

— Cóż tu robicie teraz? czy nie lepiej siedzieć w domu? noce przecież chłodne.

— Ja tylko przyszedł zobaczyć żelaza, co postanowiłem na rzece na wydry, ale cości niejedna nie wlazła, a potem i ściemniało, tak ja myślę, co tu po nocy tłuc się, lepiej zanocować.

Ogień trzaskał wesoło i pryskał iskierkami, których całe snopy coraz to wzbijały się ku górze, skacząc i tańcząc w powietrzu. Nad ogniem wisiał zawieszony na kiju imbryk, w którym gotowała się woda, i Hrehor właśnie zabierał się zasypać herbatę. Z rozkoszą przyglądałem się tym przygotowaniom, gdyż głód począł mi już mocno dokuczać. Po upływie pięciu minut miałem przed sobą kubek, napełniony gorącą herbatą, a w ręku potężny kawał chleba z masłem i kawał słoniny. Zaczęliśmy gawędzić. Spytałem Hrehora, co porabia.

— Ot nic, dzięki Bogu, dobrze wszystko. A czemuż to panicz na obławie nie był w niedzielę w Lipnikach?

— Nie miałem czasu, a szkoda, mówili, że dużo zabili.

— A jakżeż, ośm sztuk położyli, w piątek jeszcze przyjechał tu do mnie uradnik, i jak zaczął prosić: kochanieńki, gołąbeczek, przyjedź urządzić obławę, tak ja i przyrzekł, choć daleko.

— Tak, tutaj pewno koło trzydziestu wiorst.

— Do Krasnego pnia trzydzieści pięć, 'a i tam wiorsty trzy. No nic, pojechałem w sobotę raniusieńko. Wieczorem poszli to my z tym, jakże jego, aha! z Citem z Jakowlewa, podsłuchać. Zawyłem ja, a tam ich całe gniazdo jak zaśpiewa i jak raz między wielką drogą a Lipnickiem polem, koło Głuchego jeziorka. Tak my zaraz i do domu. Zebrało się sztuk sto obławników i myśliwych trzydziestu. Postanowiłem ja myśliwych na drożce, co z Idrycy do Lipników, a obława od jeziorka, jedno skrzydło od boru zamknęli, a od pola zostało wolne: mało obławy było. Ale i tak jeden tylko stary wyrwał się i to prosto polem i koło wioski. A niechaj jego licho! Sprytna bestya. A starucha popadła się. i młode wszystkie. Jak raz, w południe zaciągnęli tak i starych zachwycili. Ot Cit ten sam dwa młodych zabił i djaczek z Kossowa jednego, a mnie, tak starucha popadła się. Żyjąca taka bestya, żeby ją licho, cały nabój drankul dostała i nie — dawaj jeszcze pełzać, aż przyszło się drugi raz bić.

Włodzimierz Korsak.

(*C. d. n.*).

stu laty w Jabłoniu (gub. siedlecka) przez hr. Tomasza Zamoyskiego i ofiarowany do Muzeum hr. Branickich we Frascati. Egzemplarz ten nie jest jednak czysto biały, lecz posiada w różnych częściach włos biały, przemieszany ze zwykłym, a nawet na kicie włos ciemny przeważa, nóżki zaś są prawie czarne. W każdym razie tej odmiany białej nie należy mieszać z prawdziwym lisem białym, czyli „piescem" (*Vulpes lagopus*), który zamieszkuje okolice podbiegunowe we wszystkich trzech arktycznych częściach świata, a który zimą daje futro, zwane „lisami białemi", a w lecie przybiera barwę brunatno-stalową, dając futro powszechnie znane pod mianem „lisów niebieskich".

Łasica, czyli *łaska*, (*Mustela vulgaris*) spotyka się na całym obszarze naszego kraju, a w niektórych okolicach jest nawet bardzo pospolita. Mały ten, zwinny i niezwykle zuchwały drapieżnik, atakuje nietylko drobne gryzonie, ale nawet zwierzęta znacznie większe od siebie, jak zające i króliki. Jeśli mamy wierzyć tak znakomitym obserwatorom, jak Tschudzi i Franklin— łasica w wyjątkowych razach rzuca się nawet na człowieka. Oto autentyczny wypadek, zacytowany przez John'a Franklina w jego dziele „Życie zwierząt".

„Pewien Szkot, nazwiskiem Brown, powracał drogą z Gilmertow, w pobliżu Edymburga, gdy ze znacznej odległości spostrzegł na wzgórzu jakiegoś człowieka, który oddawał się ćwiczeniom gimnastycznym, tak gwałtownym, że można go było śmiało wziąć za waryata. P. Brown pomyślał w samej rzeczy, że to musi być jakiś szaleniec, i poszedł wprost do niego. Zbliżywszy się, spostrzegł, że człowiek ten został zaatakowany przez całą gromadę małych zwierzątek, które p. Brown wziął na razie za szczury, lecz, podszedłszy bliżej, przekonał się, że to było stado łasic, złożone z 15 do 20 sztuk, od których nieszczęśliwy bronił się zajadle. P. Brown, mając przy sobie laskę, zaczął nią tłuc napastników i wkrótce wiele z nich rozciągnął trupem. Zwierzątka, widząc swą porażkę, rozpierzchły się i znikły wśród nierówności skał. Biedny Szkot był kompletnie wycieńczony walką, którą, o ile mógł sobie skombinować, podtrzymywał przez jakie dwadzieścia minut. Straszne zwierzątka usiłowały gwałtownie dostać mu się do gardła i bez pomocy p. Browna byłby napewno uległ nieukróconej furyi łasic. Opowiedział on następnie szczegóły całej tej awantury. Przechadzał się on spokojnie po parku, gdy naraz spostrzegł łasicę: pobiegł ku niej, chcąc ją koniecznie zabić, i w tym celu zagrodził jej drogę do skalistych odłamków, gdzie zwierzątko chciało się ukryć przed napastnikiem. Wówczas łasica wydała głos alarmu, na który z pośród rozpadlin wyskoczyła cała gromada jej towarzyszek i rozpoczęła straszny atak".

Jan Sztolcman.

(*C. d. n.*).

JAK ZAPOBIEDZ TEMU,

aby kuropatwy nie robiły gniazd i nie składały jaj w koniczynach.

Wiadomo myśliwym i rolnikom, że kuropatwy w znacznej ilości robią gniazda i składają jajka w koniczynie, które zwykle, z powodu wczesnego skoszenia koniczyny, bywają zniszczone.

Zakładanie wieńców z gałęzi i ciernia w sposób, jaki opisał w „Łowcu Polskim" Stefan ks. Lubomirski, może tylko tam dać dobry rezultat, gdzie w blizkości niema lisów, borsuków i pastuszków. Wieńce takie prędko wpadają w oczy tymże szkodnikom, które też, powodowane ciekawością, jaknajczęściej odwiedzają, i gniazda, które tam znajdują — niszczą. Również wyszukiwanie gniazd wyżłem, przed skoszeniem koniczyny i pozostawienie kilku kwadratowych łokci wokoło gniazda nieskoszonej koniczyny, pomyślnego rezultatu nie daje, albowiem, tak samo, jak wieńce, pozostawione kawałki nieskoszonej koniczyny, stają się ulubionemi miejscami odwiedzin wymienionych wyżej szkodników i wron, które znajdujące się tam gniazda, niszczą.

Aby zapobiedz składaniu jajek w koniczynach, należy kuropatwy, przed rozpoczęciem składania jajek, często z przestrzeni, obsianych koniczynami, zestraszać, w czem wyżeł wyszukaniem ich, a jamnik płoszeniem, dadzą doskonałe usługi. Kilkakrotnie spłoszone kuropatwy, opuszczają koniczyny, przenoszą się w inne zboża, gdzie im nikt gniazd nie zniszczy i skutek będzie osiągnięty. Najlepiej straszyć kuropatwy wieczorem, wczesnym porankiem, można i strzelać do nich ślepemi ładunkami. Po kilkurazowych wypłoszeniach i jednej kuropatwy nie znajdziemy w koniczynie, i tym sposobem uratujemy dużo gniazd kuropatwich, któreby bez tego były stracone. Środek to pewny, dający świetne rezultaty, a ponieważ nadchodzi pora i czas, w którym kuropatwy wyszukują miejsc do sporządzenia gniazd, więc odpowiednia chwila do czynienia prób i doświadczeń, i tym sposobem do uratowania gniazd.

W. Szostak.

W PODRÓWNIKOWEJ AFRYCE 1905 r.

Niewydany Dziennik Podróży Pani Anny de la Motte Saint-Pierre.

Z francuskiego tłómaczył

Jan Sztolcman.

(*Ciąg dalszy*).

10 lipca. Zasadzka nie dała żadnego rezultatu. Pada deszcz. Guy nie ma ochoty wyjść, lecz jeden z ludzi przynosi turkawkę, którą znalazł wraz z gniazdem na ziemi.

Drzewo, na którem znajdowało się gniazdo, było wywrócone świeżutko przez słonia, gdyż ptak był jeszcze oszołomiony upadkiem. Wygląda to na jedną z historyj myśliwskich osławionego Tartarin'a, niemniej jednak słychać wołania: „Karissa, gunbearers, wopagasi!" — poczem Guy wyrusza. Ja tymczasem z Henrykiem wychodzę koło 11 na drogę, prowadzącą do Malimbi, aby sfotografować baobab. Wracając około niewielkiego jeziorka, usłyszałem, jak jeden z przechodniów powiedział: „Bwana-tembo". Wracam szybko, aby się dowiedzieć, co się stało, lecz dowiaduję się tylko, że słyszano strzały w stronie Kilifi, wiedziałem zaś, że strzelano tylko do słoni... Jakże ten dzień się długo ciągnie! Aby czas zabić, rozmawiam z Alfredem, który mnie uczy języka Swahihi. Posłałem też po świeże jaja, aby zrobić polewkę z koniakiem.

Noc nadchodzi, aż nareszcie około 7-ej nadciąga mój mąż. Lecz przedewszystkiem trzeba wyciągnąć kolec z nogi Ongwatochy, zanim się czegoś dowiemy... Czy słoń już zabity, czy raniony, czy uszedł? Anielskiej cierpliwości potrzeba na tym świecie!

Nareszcie zasiadamy do stołu i Guy opowiada nam swoje zdarzenia:

„Już niedaleko Kilifi porzuciłem drogę i zaraz potem wpadłem na świeżutki trop słonia (mierzył

około 0.48 m. długości). O 200 metrów dalej spostrzegłem, czołgając się, cztery nogi słonia: znajdował się on z dobrym wiatrem, lecz był zwrócony do mnie tyłem; okrążywszy go nieco, przybrałem trochę lepszą pozycyę do strzału i posłałem mu z mego cal. 450 kulę pod łopatkę na odległość 25 metrów, nie mając bynajmniej nadziei trafienia w serce, poczem zdublowałem natychmiast na chybił trafił w miękkie. Słoń ruszył, puściłem się więc za nim galopem i o 100 metrów dalej spostrzegam go, stojącego na sztych. Na nieszczęście dżungla była w tem miejscu bardzo gęsta, nie mogłem dobrze rozróżniać; niemniej jednak strzeliłem w łeb z odległości 30 metrów. Słoń zrobił pół obrotu i w tym ruchu strzeliłem zrywczo po raz wtóry. Wtedy rozpoczął się czterogodzinny pościg, w którym kierowaliśmy się tropami, farbą, lub połamaną roślinnością, co nie było rzeczą łatwą wśród licznych, świeżych tropów; lecz miejscowi myśliwi dają sobie doskonale radę w takich okolicznościach; w końcu natykamy się na zwierza, który stał do nas frontem na 25 metrów. Strzelam do niego z cal. 450, mierząc doskonale w samą nasadę trąby. Słoń ugiął się na nogach i znów zrobił pół obrotu, a ja mu w tej chwili posłałem drugą kulę na miękkie. Moi ludzie widzieli strzał pierwszy i zapewniali mnie, że się znajduje w dobrem miejscu. Znów pościg i o 100 metrów dalej nowa kula w bardzo złych warunkach, jak pierwszy mój strzał, i zdublowana w identyczny sposób. Zwierz zginął mi w dżungli, a noc zaczęła zapadać. Karissa, który nie miał ochoty nocować w dżungli, bo mu zapewne było tęskno do jego „toddy", odmówił mi sprowadzenia mego obozu lotnego; inni zaś bali się zabłądzić wśród dżungli. Musiałem więc wracać, wściekły, że nie mogę skorzystać z ostatnich odblasków zmroku, aby zwierza dogonić. Wszyscy jednak twierdzą, że jutro odnajdą go nieżywego. O kwadrans drogi ztąd usłyszałem trąbienie słonia, mniej więcej na 150 metrów odległości; szedł on prawdopodobnie zwykłą drogą do sąsiednich plantacyj. Byłem jednak strasznie zmęczony i przemokły, a nadto wiedziałem, że się o mnie musicie niepokoić, więc wolałem powrócić".

11 lipca. Ruszamy drogą, prowadzącą do Kilifi, i wkrótce wkraczamy w dżunglę, gdzie przychodzimy do przekonania, że zanim znajdziemy słonia, trzeba odszukać jego tropy. Po pewnym czasie Guy obwieszcza nam, że jesteśmy na śladach postrzałka. I pomyśleć sobie, że to są tropy słonia! Widocznie, że formuła jest dla wszystkich zwierząt jednakową. Na skutek tej wiadomości, tragarze nasi rzucają się na ziemię, aby odpocząć, a my tymczasem rozkładamy się na pięknej polance w oczekiwaniu skutków tropienia. Guy wkrótce wraca, ale jakiś nie w humorze. Rozsyła w różne strony Karissę, Chandi'ego i Hassaniego, dodając każdemu po dwóch ludzi. W pół godziny potem wraca jeden z naszych ludzi z liściem, krwią splamionym. Idziemy sprawdzić bez wielkich jednak nadziei. Chandi znalazł ślady krwawe w innem miejscu; idziemy dobrą chwilę, nie widząc jednak tropów. Naraz w miejscu, gdzie grunt był bardziej wilgotny, spostrzegamy doskonale zarysowany trop; widać też farbę, rozcieńczoną przez deszcz.

Otucha wstępuje w nasze serca; wzrasta ona jeszcze bardziej, gdy nieco dalej spostrzegamy tropy hyeny w samych tropach słonia, a dalej jeszcze ślady drugiej...

Po półgodzinnym marszu gubimy tropy, a natomiast wpadamy na świeżutki ślad bawołu. W pobliżu słychać chlupotanie wody, jak gdyby zwierz jaki w niej się nurzał. Czyż byłby to nasz słoń? Zachowując tysiączne środki ostrożności, zbliżamy się do małej kałuży, gdzie znajdujemy już tylko ciepłe jeszcze tropy bawołu. Nic pozostaje nam nic innego, jak powrócić do miejsca, gdzieśmy tropy słonia zgubili. Odnajdujemy je, lecz ślad słonia i hyeny łączy się z tropami matki z dziecięciem. Idziemy jeszcze chwilkę po tych śladach, lecz wkrótce zaczynają się one mieszać, krzyżować i w końcu gubimy trop naszego postrzałka.

Ja z Henrykiem pozostajemy na miejscu, a tymczasem Guy wraz z krajowcami bada grunt w jedną i w drugą stronę. Oczekujemy rezultatu tej eksploracyi z niepokojem; wokoło nas kręcą się tysiące motyli i owadów wszelkiego rodzaju, co nam urozmaica do pewnego stopnia chwile wyczekiwania. Powoli naszych łowców ogarnia zwątpienie; powtarzają oni ciągle swój pewnik myśliwski: „Jeśli słoń ma zdychać, towarzysze *odwodzą* go w miejsce niedostępne, gdzie trudno go odnaleźć".

Wreszcie Guy decyduje się porzucić dalsze poszukiwania; wracamy więc smutni na drogę. Kolce nas kłują i rozdzierają nasze odzienie, bo porzuciliśmy już ścieżkę słoniową. Przed powrotem do obozu zakąsiliśmy jeszcze na prędce, aby głód uśmierzyć.

W obozie składa nam wizytę urzędnik celny z Kilifi, uzbrojony w parasol i dzidę. Chciałby się dowiedzieć, co się dzieje z postrzelonym słoniem. Niestety! wiemy tyle, co i on!

(*C. d. n.*).

Józef hr. Potocki.

Notatki myśliwskie z Dalekiego Wschodu.

CEJLON.

(*Ciąg dalszy*).

Mój znajomy, Anglik p. Blunt, przyjaciel polityczny Arabiego i jeden z głównych, acz ukrytych, aktorów wypadków, które zaszły w Egipcie wówczas, t. j. 1881 r., dał był mi list, w Kairze, z prośbą o doręczenie go Arabiemu. Skorzystałem z okazyi, aby przedstawić się osobiście tej zajmującej figurze, którą Europa przez chwilę była zajęta. Zastaliśmy go w jego willi, a raczej skromnym dworku, w otoczeniu licznej rodziny i domowników, którzy dzielą z nim losy wygnania.

W schorzałym starcu, o bladej i smutnej twarzy, trudno się dziś domyślić egipskiego condotyera, obrońcy islamu, a który przed kilkunastu laty potrafił na chwilę zapalić w fanatycznych tłumach muzułmanów zarzewie „świętej" walki przeciwko giaurom znienawidzonym. Zawody, tęsknota po kraju i przygnębienie moralne kompletnie go złamały, a dziesięć lat, przebytych w Colombo, dopełniły reszty, wyciskając piętno trawiącego klimatu na jego zmęczonem obliczu. Zrobił na nas wrażenie człowieka złamanego, który już nigdy sprężystości fizycznej ani moralnej odzyskać nie potrafi.

Mówi słabo po angielsku i słuch ma przytępiony, co rozmowę bardzo utrudnia. Wypytywał się nas skwapliwie o Egipt i ostatnie wypadki, z okazyi rozterek Kedywa z oficerami angielskimi, które się właśnie podczas naszej bytności w Kairze rozegrały. Apatyczna twarz jego ożywiła się nieco w rozmowie, której go widocznie zajęła.

Przez otwarte drzwi ujrzał towarzyszącego nam na koźle powozu Fereka, który, jako były żołnierz i Sudańczyk, znał ze słyszenia nazwisko „wielkiego" baszy i wielce był przejęty widokiem człowieka, któremu składaliśmy wizytę.

Arabi zapragnął zbliska go zobaczyć; zajmującem było obserwować, z jaką czcią i uszanowaniem zbliżył się murzyn do Baszy i pozdrowiwszy go nizko

wschodnim zwyczajem, w rękę go pocałował i do swego czoła ją przyłożył.

Arabi, z widoczną przyjemnością, po arabsku z nim rozmawiał. Prosiłem go, aby przy okazyi powiedział Ferekowi parę słów z zaleceniem, aby się dobrze sprawował i wiernie a uczciwie służył, sądziłem bowiem, że słowa z ust Baszy wywrą trwałe wrażenie na murzynie.

Dopiero w kilka miesięcy później dowiedziałem się od samego Fereka, że Arabi nic mu o tem nie wspomniał, tylko kilkakrotnie i dobitnie upomniał go, aby choć w służbie u giaura nie dał się namówić do zmiany religii i pozostał zawsze wiernym Proroka wyznawcą. Widocznie wygnanie nie osłabiło fanatycznych uczuć egipskiego rebelizanta.

O sobie mówił Arabi, że nie ma już żadnych nadziei, ani widoków politycznych, pragnąłby się tylko wydostać z Cejlonu, którego klimat mu nie służy. Żyje z pensyi, którą mu rząd angielski wypłaca, ale która mu widocznie nie wystarcza. W domu jego dziwnie ubogo i nieporządnie nam się wydało. Używa zupełnej swobody ruchów, tylko miejscowości opuścić nie może.

Pół dnia zeszło nam w Kandy na zwiedzeniu sławnego ogrodu botanicznego, zwanego Paradenia, który słusznie uchodzi za jedną z największych osobliwości Cejlonu i za najpiękniejszy ogród na kuli ziemskiej.

Paradenia leży o pół godziny drogi powozem od Kandy, nad dużą rzeką Mahawelli Ganga, której szerokie koryto okrąża część ogrodu, tworząc naturalną granicę tego rozległego, 150 akrów przestrzeni zajmującego parku. Prowadzi do niego aleja rozłożystych drzew gumowych (Ficus elastica), których płaskie, wysoko z ziemi wystające korzenie wiją się, gdyby węże olbrzymie, w koło pni tych drzew pożytecznych, z których soku kauczuk się wyrabia.

Wszedłszy do samego ogrodu, jest się niemal oszołomionym cudami i bogactwem flory, której komplet nietylko z Cejlonu, lecz ze wszystkich krajów podzwrotnikowych widzi się tu razem zebrany.

Sam wygląd parku dodaje całości niemało uroku, gdyż nie znać w nim sztucznego układu botanika, wszystko zdaje się być dziełem przecudnej przyrody, jakoby olbrzymia, naturalna cieplarnia, której niebo sklepieniem, a przyroda ogrodnikiem.

Cieniste klomby palm zawierają okazy niemal wszystkich, istniejących na świecie, gatunków tego drzewa. Zwracamy uwagę na górującą ponad inne palmę talipota (Corypha umbraculifera), która raz tylko w ciągu długiego żywota, w późnej starości jasnym kwiatem zakwita i zaraz potem schnie i umiera, jakby zużywszy wszystkie swe siły żywotne na wydanie tego kwiatu jedynego w ciągu swej długiej egzystencyi.

Liście talipoty służyły dawnym Syngalezom, jak papyrus Egipcyanom, i dotąd ich używają na Cejlonie do wypisywania na nich religijnych sentencyj i modlitw.

Olbrzymie bambusy, wspaniałe, w pnie grubych drzew wyrosłe paprocie, rozłożyste banany, ogromne fikusy o tysiącach korzeni, begonie, setki najrozmaitszych drzew ze wszystkich części świata, składają się na komplet flory drzewnej, jakiego drugiego niema na świecie. Nie chcę i nie mogę się kusić na opis tych dziwów, na których zwiedzenie dokładne kilku dni, nie zaś kilku godzin, potrzeba.

Wspomnę tylko o wspaniałem drzewie z Malakki (Amhorstia nobilis), którego kwiaty ogromne, czerwono-żółte, jak olbrzymie storczyki, szczególnie w oko wpadają, i o zabójczem drzewie z Jawy (Avitiaris Toxicaria); gdy pod niem spocznie nieostrożny podróżny, uśnie na wieki, otruty zabójczą wonią, którą kwiat, czy liście tego drzewa mordercy wydają.

Storczyki, nie mówiąc o dziko rosnących, mają tu dom osobny, w którym wszystkie, pod równikiem istniejące gatunki, są reprezentowane. Najwięcej nam się podobała wspaniała Orchidea meksykańska (Cattleya gaskellana), blado-różowego koloru.

Widzimy tu po raz pierwszy dziwną roślinę w formie niskiego krzewu, której kwiat do Napoleońskiego kapelusza jest podobny (Napoleona imperialis).

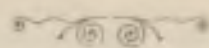
Osobny oddział w ogrodzie stanowi część, poświęcona kulturze roślin pożytecznych, jak kawy, herbaty, kakao i t. p., gdzie botanik-amator może śledzić szczegółowo sposób uprawy i rozmaite fazy ich rozwoju.

Ładne motyle i błyszczące owady ożywiają ten obraz cudownej flory. Świat ptasi bardzo nielicznie i słabo jest reprezentowany: oprócz brzydkiej wrony i drobnych ptaszków zwyczajnych, nie spostrzegamy ani jednego ładnego okazu.

Paradenię założył jeden z gubernatorów angielskich w pierwszej ćwierci bieżącego stulecia. Obecnie dyrektorem ogrodu jest Dr. Gardner, autor obszernego dzieła botanicznego, w którem oblicza okazy flory, w Paradenii skupione, mniej więcej na 5,000 gatunków.

Trzy dni zabawiliśmy w Kandy. Bardzo żałowałem, że nie zastałem w mieście rezydującego tam Monsignora Zaleskiego, Ablegata Stolicy Apostolskiej, naszego rodaka, którego dzieło o Misyach katolickich na Dalekim Wschodzie dobrze jest w kraju znane. Bawił on podówczas w Indyach, w Goa, gdzie odbywały się konferencye kongresu biskupów. Słyszeliśmy wszędzie jednogłośne słowa sympatyi dla tego dostojnika Kościoła, który umiał sobie na wysokiem i niełatwem stanowisku, jakie piastuje, zyskać głęboki szacunek wszystkich sfer i ogólne uznanie dla skutecznej swej działalności.

(C. d. n.)



Jak leczono psy sto lat temu.

(Ciąg dalszy).

O ospie u psów.

Nie sam jeden rodzaj ludzki jest uległy tej zaraźliwej wysypce. Bydło rogate i inne domowe zwierzęta, równie, jak i psy, ospą bywają dotknięte. Symptomata w pierwszym dniu wywiązania się ospy, następnie się okazują. Pies staje się smutny, zwiesza w dół głowę, opuszcza ogon, oczy są smętne i w pół zmrużone, w pysku gorącość i suchość, język białością pokryty, szorstki, oddech śmierdzący; chęć do jadła gęstego ustaje, zrywanie na womity, słabość posunięta aż do zachwiania nóg, a ztąd pies często się kładzie i ledwie wstać zdoła. Senność częsta, zatrzymanie wyrzutu, uryna światła, skóra gorąca, z niej sierć za pociągnięciem pełznie i bywa pokręcona w kudła. Wyraźnie fenomena gorączki z pulsem prędkim, lecz słabym. Na drugi dzień materya żółta, śmierdząca wypróżnia się kanałem odchodowym, niekiedy też bywa zatkanie wyrzutu, trwa czasem do dnia trzeciego. Nagle staje się pies słabszym, cierpi gorączkę, szuka chłodnego miejsca, tak bardzo, że najwygodniejszą pościel opuszcza, a na posadzce ceglanej szuka ochłody. Podówczas transpiracya częstokroć bywa tak obfita, że legowisko zostaje potem zbroczone. Czwartego dnia choroby napada mocne ziębienie, podczas którego włosy, szczególniej na głowie, się nażeżają.

W tym dniu i następnych, t. j. w piątym i szóstym, wysypka ospowa, wyraźna okazuje się na głowie i innych częściach, mniej pokrytych włosami, dlatego najwidoczniejsza jest na pysku około oczu,

wewnątrz i na tylnych częściach nóg, jako też między łapami i t. d., co mu sprawia wielki ból, tak dalece, że chodzić nie może i z cierpienia mocnego częstokroć skowycze.

Wysypka taka, mająca postać ospy prawdziwej, jest taka sama, jakiej podlegają owce: albowiem też same przebiega perydy, mianowicie: wysypuje, nalewa, bieleje, posycha i spada. Czas tej dolegliwości trwa niejednostajnie. Dziewiątego dnia, a niektóre zaledwie we dwa tygodnie, przychodzą do zdrowia, niektóre bardzo długo zostają w niemocy i ciągle leżą, a niektóre bywają dosyć wesołe i chodzić mogą.

Kuracya: Chociaż psy z ospy, siłami natury do zdrowia przychodzą, jednak gdy ona bez cierpienia biegu swego odbywać nie zwykła, przeto w ospie, nawet łagodniejszej, należy środkami, ile to być może, ulgę sprawić: do czego przyczynia się utrzymywanie psów w miejscu chłodnem, i zamiast zwyczajnego jadła, dawać kwaśne mleko lub serwatkę. W czasie zatrzymania wyrzutu, lewatywa z ciepłej wody dobrze służy. Dla ułagodzenia gorączki niektórzy radzą dawać saletrę, rozpuszczoną w płynach, lecz gdy pomieniona sól wyrzucenie ospy na skórze u ludzi zwykła wstrzymywać, mogłaby też samo sprawić w zwierzętach; zatem raczej wypada innych środków przeciwgorączkowych w tem zdarzeniu używać, jakiemi są: ocet, sól kuchenna i rozmaite polewki chłodzące.

Lekarstwo na robaki, w ranach wylęgające się.

Aby robactwo, w ranach znajdujące się, wygubić, należy utłuczony galas rozprowadzić octem i zostawić przez cztery godziny w dysekcyi. Potem na słabym ogniu zagotować, przecedzić i dodać cztery łuty tłuczonego aloesu, tyleż spalonego rogu, kalafonii i dobrze takie substancye z sobą pomieszać; trzeba zalewać ranę, robactwem zarażoną, po kilka razy na dzień. Ten środek nietylko zabija robactwo, w ranie będące, lecz nawet odstręcza owady, mogące w niej jaja składać, i dzielnie się przyczynia do wzbudzenia narastania dobrych mięs, niemniej przeto do jej zabliźnienia.

Olejek terpentynowy i konopny mają własność, powszechnie znaną, wygubienia robactwa.

Lekarstwo na robaki wewnętrzne.

Nietylko ludzie cierpią robaki wewnętrzne, najbardziej w kanale pokarmowym gnieżdżące się, lecz i psy im podlegają. Dla wygubienia ich najlepiej służy recept następujący: weź dwie łyżki wyciśnionego, piołunowego soku, aloesu, wrotyczu pospolitego (Tanacetum vulgare), siarki, każdego po jednej, herbatniej łyżeczce, i wszystko to wsyp do moździerza, potem wlej łyżkę oliwy, dobrze utłucz i na części, stosownie do sił psa, rozdziel. Każdego ranku na czczo daje się psu jedną brań w półkwaterce wody, zalewając w gardło, a tak powtarzając jego użycie przez dni trzy, robactwo, czasami żywe, a czasami martwe i już w części rozpuszczone, z łajnem wychodzi.

O pulsie gorączkowym.

Puls jest najpierwszym znakiem gorączki, a zatem jego śledzenie w każdym razie jest ważne dla rozpoznania natury choroby. Może się on namacać w tych tylko miejscach, gdzie arterye są powierzchowne i samą skórą pokryte. Takiemi są średnia, wnętrzna część kości ramieniowej, czyli, jak pospolicie mówią, kraina podłopatkowa, w tem albowiem miejscu arterya ramieniowa w kierunku krzyżowym do kości przechodzi i samą tylko skórą jest pokryta, a przeto każda jej pulsacya, za przyłożeniem brzuszków palców, czuć się daje. Puls w stanie zdrowia u psa uderza na minutę 90 razy, a nawet i więcej; u konia 40. Kiedy więc 10 razy lub więcej uderza nad tę liczbę normalną, już to oznacza stan gorączkowy. Niekiedy tak wielkie zaburzenie w systemie krwistym bywa, iż puls na minutę więcej nad sto razy uderza, co jest już znakiem najgwałtowniejszej gorączki.

(C. d. n.).

POLOWANIE NA RYSIE.

Pogoda mroźna, sanna wyborna, świeża ponowa. Przyjeżdżam do Kopcewicz, — jutro mamy polować na rysie. Jest ich sztuk kilka; śledzą za niemi biegli osocznicy, a rzecz to niełatwa rysia wytropić, w licznych jego śladach się oryentować.

Ryś nie jest rzadkością na Polesiu — niestety, zbyt dużo tych szkodników, szczególniej w miejscowościach, gdzie dużo sarn i zajęcy. Ale że ryś trzyma się najbardziej zagęszczonych miejscowości, żyje w wielkich, olchowych, starych lasach, rzadko się ze strzałem spotyka, a szkody, które wyrządza w zwierzostanie, są ogromne.

Pan L., właściciel Kopcewicz, jest jednym z najwytrawniejszych myśliwych naszego Polesia, a żaden rodzaj polowania nie jest mu obcy. Ostatniemi laty pasyonuje go polowanie na wilki i rysie z flagami, a pod jego kierunkiem straż leśna doszła do perfekcyi wyszkolenia w tej sztuce. Co rano otrzymuje pan L. telefoniczne zawiadomienia ze wszystkich leśniczówek, każdy ze strzelców donosi o rezultatach swych poszukiwań i otrzymuje odpowiednie wskazówki, instrukcyę i rozporządzenia, które z niezwykłą precyzyą i dokładnością wykonują.

Wyruszamy objazdowemi saneczkami około jedenastej rano na wyznaczone miejsce. Jedzie nas czterech myśliwych. Gospodarz, X. P., pan N. i ja. Czekają na nas strzelcy, zdają sprawozdanie gospodarzowi. Są trzy rysie w jednym miocie, a Wasil prócz tego, ma jednego jeszcze cokolwiek dalej. Po krótkiej naradzie zapada decyzya, w którą stronę pędzić rysie, i jak otoczyć flagami. Cicho dążymy na stanowiska. Odstęp niewielki, trzeba też zachować wszelkie ostrożności. Rysie znajdują się w gęstem, młodem zagajeniu. Stajemy, — każdego ze strzelców przedziela jakie sześćdziesiąt kroków. Mnie stawia gospodarz tuż pod flagami na tropie. „Będziesz strzelał na pewno“ — mówi mi, a sam spieszy ku nagance. Szedłem z biciem serca, pierwszy raz miałem widzieć, a może strzelać do rysia. Śnieg grubą warstwą pokrył sosnowe zagajenia. Gałęzie się ku ziemi pochyliły, strzał więc był trudny. Wytężam wzrok, co chwila zdaje mi się, iż coś przemyka. Naganka ruszyła, coraz się zbliża. Naraz mignęła mi sylwetka dużej sztuki, tuż za nią podąża druga. Rysie idą równolegle do flag małym klusem — odemnie pięćdziesiąt kroków. Strzelam do pierwszej dużej sztuki: potknęła się, lecz nie upadła; strzelam powtórnie, ryś leży. Druga sztuka w susach umyka. Nabijam prędko broń, lecz nim to zrobiłem, trzeci ryś wielkości dużego lisa, przeskakuje koło mnie i znika w gąszczach. Mogłem zrobić dubleta, gdybym był bardziej obyty z rysiami, gdyż duża, stara samica, którą zabiłem, pierwszym strzałem śmiertelnie była raniona, a strzał drugi był już zbyteczny.

Probujemy szczęścia w pogoni za zbiegami, lecz nie udaje się nam ich wyprzedzić, idą wciąż w dużych susach. „Nie ujdą nam jutro“ - mówi gospodarz — „a teraz pójdźmy po rysia Wasila“. Słońce znacznie się już opuściło, a rysiowi się znudziło długie czekanie w ostępie, lub może go zaniepokoiło zbli-

żanie się naszych sanek, dość, iż ruszył i poszedł okrutnemi gąszczami, przez które literalnie przedrzeć się nie było sposobu. Zaczyna się pościg za rysiem. Przerwawszy się przez gąszcze, wyszukując ścieżek, lub leśnych dróżyn, tropów tak dużo, iż niepodobna poznać, za którym mamy dążyć.

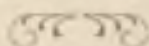
Naraz zasępiona twarz gospodarza się rozjaśnia: ujrzał trop rysia w susach, dla niego to wskazówka dostateczna, jesteśmy na dobrej drodze, ryś niedaleko. Bo on, co zna naturę rysia, wie, iż ryś wolno zwykle idzie, ruszony zblizka, daje susów kilka, potem staje, zaczaja się i czeka, aż niebezpieczeństwo minie.

Krótki rozkaz, ruszamy spiesznie, za chwilę flagi rozstawiają — myśliwi stają — czekamy. Przed sobą mam rzadki, młody las, z lewej strony X. P., z prawej gospodarz. Słyszę głosy naganki, już niedaleko, naraz pada strzał z lewej strony. Patrzę i widzę, jak ryś trafiony zachwiał się i zawraca do młotu. Drugi strzał — ryś widocznie raniony wolno dalej sunie. Mam jakie sześćdziesiąt kroków — strzelam: ryś siadł na zadzie, lecz jeszcze się wlecze, strzelam znowu — ryś umiejscowiony. Podbiegamy obaj do leżącego, a X. P. raz jeszcze strzela. Rzadko się zdarza tak wspaniały okaz, olbrzymi, stary samiec ślicznie centkowany, a gdyby nie nadzwyczajna spostrzegawość i wprawa gospodarza, dalejby ten szkodnik napadał sarny i zjadał zające. — Zbyt ufał swej ostrożności i przebiegłości i zapłacił swoją skórą.

Równie miłych emocyj, jak przebyte w tym dniu, dawno nie doznawałem, a długo pamiętne mi będą ten wspaniały las, po którym polowaliśmy, ten wzorowy porządek na każdym kroku, karność i wprawa strzelców i niezrównana gościnność sympatycznego gospodarza. Takich wrażeń może mi pozazdrościć niejeden z prawdziwych myśliwych.

H. K.

16 lutego 1906 r.



Tępienie drobnych ptaszków we Włoszech.

Il Secolo, jeden z najbardziej rozpowszechnionych we Włoszech dzienników, zamieścił następujący artykulik, zatytułowany: „Rzezie drobnych ptaszków we Włoszech".

„Pan G. A. Monber, Anglik, zamieszkały we Włoszech, pisze do nas z San Remo:

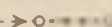
„Podczas bieżącej zimy tępienie drobnych ptaszków odbywa się u nas zwykłym trybem. Włochy są dzisiaj jedynym krajem cywilizowanym, gdzie tępi się bez żadnego pardonu szczygły, dzwońce, rudziki, sikory, piegże, zięby i t. p., nie bacząc bynajmniej na straszną krzywdę, jaką się wyrządza rolnictwu przez niepomierny rozwój robactwa, które służy za pokarm wyżej rzeczonym ptaszynom.

„We Francyi, w Niemczech, w Austryi, w Szwajcaryi, w Anglii i w Ameryce (dodajmy i u nas — *Redakcya*) zrozumiano od dawien dawna, że ta olbrzymia rodzina ptasząt nietylko zachwyca człowieka swym śpiewem, ale nadto stanowi prawdziwe dobrodziejstwo dla rolnika. To też drobne ptaszki są wszędzie w tych krajach ochraniane. We Włoszech, w tym prawdziwym ogrodzie Europy, gdzie sztuka uprawiania ziemi stała zawsze na najwyższym szczeblu, dzieje się wprost przeciwnie; wypowiedziano wprost okrutną wojnę tym biednym ptaszynom; widząc w nich jedynie smaczny kąsek. Właśnie dlatego, że niezliczone rzesze ich przybywają z tych krajów, aby przezimować na Rivierze, znajdują one wszędzie we Włoszech śmierć srogą".

W *Tribunie* z 23 listopada r. z. znajdujemy w rubryce *Sport* następującą notatkę: „Vicenza, 21 listopada. W jednym *paretaio* (łowy siecią) w Arzignano, w trzy dni ostatniego tygodnia, wzięto 2.044 zięb, a mianowicie 584 w środę, 627 — w czwartek i 833 — w niedzielę". Osobliwy sport!

Na to więc na północy Europy ochraniamy drobne ptaszki, aby je w tak barbarzyński, wprost nieludzki sposób tępiono we Włoszech.

J. S.



W sprawie głosu kszyka.

Ponieważ sprawa powyższa oddaną została pod pewien rodzaj plebiscytu myśliwskiego, zatem, jako myśliwy od dzieciństwa, zamieszkały w bagnistej okolicy, mając tedy sposobność, jak mało kto, robienia obserwacyj nad tym ptakiem, pozwolę sobie, chociaż spóźnionych, parę słów powiedzieć. Nie chcąc jednak zbyt długo rozpisywać się nad tem, powiem w krótkości, że rezultat moich obserwacyj bezwarunkowo potwierdza opinię w tym względzie p. Jana Sztolcmana.

Beczący głos kszyka bezwarunkowo nie pochodzi z gardła, lecz spowodowanym jest drżeniem piórek przy spuszczaniu się skośnem ku ziemi ptaka na wiosnę. Spłoszony w lipcu lub sierpniu, lata on i manewruje, dzięki stosunkowo potężnej zdolności latania, lecz charakterystycznego opuszczania się ku ziemi nie wykonywa w tej porze nigdy.

Że zaś później mniej chętnie lata, tłómaczy się łatwo tem, że we wrześniu i październiku, kiedy jest „oblanym", latanie staje się dla niego uciążliwszem, aniżeli przedtem, zatem powietrzne manewra nużą go więcej.

Nakoniec ważną, podług mnie, wskazówkę stanowi okoliczność, że kszyk głos swój beczący wydaje tylko w cichą pogodę; podczas silniejszego wiatru, głosu tego nie wydaje on nigdy, co mu jednak nie przeszkadza, w cichą, czy wietrzną pogodę, wydawać krzyczący głos dziobem, jeśli go kto spłoszy.

J. Konczewski.



Polowanie na krokodyle w Indyach Wschodnich.

Młodzi hrabiowie Sierakowscy (Jan i Stanisław), synowie Adama z Waplewa, bawią obecnie w Indyach Wschodnich wraz z hr. Oswaldem Potockim. Świeżo otrzymaliśmy nadesłany nam łaskawie przez ojca młodych podróżników, wyjątek listu, w którym hr. Jan Sierakowski opisuje epizod polowania na krokodyle. Zamieszczamy go poniżej w całości.

Benares, *14 lutego 1906 r.*

...Wróciliśmy z Gwalioru do Agry i tam zostaliśmy jeszcze dwa dni w celach myśliwskich. Staś i Oswald pojechali pierwszego dnia na aligatory pod egidą dwóch „Babii" (dżentelmenów — literatów Bengalskich), których za pomocą listów Nichollsa zwerbowaliśmy. Ekspedycya ta nie bardzo im się powiodła; strzelili kilka razy, lecz bezskutecznie. Oswalda taka gorączka myśliwska opadła, że kładł się i czołgał wśród kolących krzaków dżungli bez zrozumiałego powodu. „Babii" był jedyny, co zimną krew zacho-

wał; to też uśmiercił gawialika małego, jak szczeniątko od piersi matczynej oderwane.

Ja zaś w tym czasie polowałem na antylopy i „Black-buck“ w towarzystwie p. Pertwee, Anglika, rodem z Kanady, człowieka bardzo miłego. Było to śliczne polowanie wśród dżungli, pełnej najróżnorodniejszego zwierza i ptactwa.

Dżungla sama, wypalona od suszy, wygląda, jak model plastyczny Alp, same wąwozy i góry miniaturowe, jak zabawki dla dzieci. Drzew, w naszem pojęciu, zupełnie na niej nie było; tylko przeważnie kolczaste krzaki urozmaicały brunatne tło krajobrazu. Strzeliłem trzy razy: do jednej dzikiej kozy, do antylopy i do bardzo pięknego „Black-bucka“ na ogromne odległości; tego ostatniego bardzo ciężko postrzeliłem, ale nie podniosłem, bo zmrok zapadł. Obiecują mi go dostawić. Polowanie samo było rozkoszne, bo to była zupełnie dzika wyprawa. Przeszliśmy w dżungli blizko 20 km.

Ptaków wszędzie było pełno, i co milsze, że się one jeszcze ludzi nie boją.

Do dzikich pawi i pysznych żórawi, wiele większych od naszych i bardzo pięknie upierzonych, dochodziłem na parę kroków, a one tylko na nogach na kilka metrów się odsuwały.

Na drugi dzień wybraliśmy się we dwójkę ze Stasiem na krokodyle. Oswald nie wierzył w możliwość sukcesu i w domu pozostał. W towarzystwie wynajętego krajowca „*szikari*“ (t. j. zawodowego strzelca), pojechaliśmy powozem jakich 14 mil angielskich po za Agrę, a ztamtąd piesza 7 km. przedostaliśmy się nad brzegi rzeki „Dżumny“. Okolica była bardzo malownicza, wszędzie głębokie rozpadliny, porosłe kolczastemi krzakami o ciemno zielonym, martwym kolorze; gdzieniegdzie kępa palm, lub kaktusów. Od czasu do czasu wychylały się z dżungli domki gliniane pasterzy, podobne do kup zeschłego błota. Wypadło nam przeprawić się przez małą rzeczkę (dopływ Dżumny) na plecach naszych hindusów. Mokło się przytem i w ciągłym żyło strachu, aby jaki komarowaty „native“ (krajowiec) pod nami się nie złamał. Stanęliśmy wreszcie nad Dżumną, w miejscu, gdzie rzeka ta wspaniała, w której nurtach nieco wyżej przecudny Tadż-Mahal się odzwierciadla, — tworzy łuk. Woda tam jest głębszą i aligatorom milszą. Odrazu nam szikari zasygnalizował „*Koko*“, co jest nazwą krajową większych aligatorów. Po kilku minutach ubiliśmy po jednej sztuce: ja gawiala *dziubatego*, a Staś większego aligatora—krokodyla. Zasiedliśmy na dwugodzinną zasadzkę, i razem 8 aligatorów (między niemi kilka bardzo dużych, do 15 stóp ang. długości mających) ubiliśmy. Już mieliśmy odchodzić, kiedy nam jeden z naszych Hindusów jeszcze jednego „*Koko*“ wskazał. Prędko podbiegliśmy; Staś już nie miał naboi, a ja strzeliłem do łba ogromnego zwierza na jakich 14 kroków. Ze zmęczenia chybiłem, i nagle ku naszemu zdziwieniu, ogromny aligator do brzegu przypływa i nas, stojących nad brzegiem, atakuje. Staś do niego 6 razy z rewolweru Browninga *à bout portant* strzela, gdy już na ląd był wypłynął. Aligator znowu do wody wraca, ale jeszcze blizko lądu zostaje. Staś więc znowu nabija rewolwer i dalej do niego strzela, a ja z ostatnim nabojem mego sztućca czekam. Po chwili rozwścieklone zwierzę drugi raz się na nas rzuca, i ja mu z karabinu Henry-Martini pakuję kulę w łeb na odległość paru kroków. Kula, z tak blizka strzelana, nie przebiła mu czaszki i tylko utkwiła na wierzchu w skórze i trochę go oszołomiła. Staś tymczasem resztę naboi rewolwerowych wystrzelił, i zostaliśmy uzbrojeni tylko w ogromne kije bambusowe; z tych jeden był zaopatrzony w ogromny hak żelazny na końcu. Teraz zaczęła się straszne zajmująca walka z rannym lekko zwierzem, któregośmy hakiem, w oko wbitym, do brzegu przyciągnęli. Zaczęliśmy go walić po łbie bambusami, wściekli, że mu nic zrobić nie możemy; krokodyl od czasu do czasu się na nas rzucał. Ze złości, łatwo zrozumiałej, wpakowałem mu w otwartą paszczękę drąg bambusowy, a on zgryzł go, jak zapałkę. Staś łomotał go po łbie, ale tylko bambusy w drzazgi poszły. Trwało to dobrych 20 minut, aż wreszcie jakiś pastuch, których się kilku na ten widok zbiegło, podrzucił nam siekierkę, i natychmiast w panicznym strachu odbiegł. Ową siekierką Staś zwierzęciu kark rozrąbał, podczas kiedym ja go hakiem w oko, zaciśniętym przytrzymywał. Była to piękna walka i ubawiliśmy się znakomicie. Ubity aligator-krokodyl ma przeszło 3 metry długości i jest w sobie bardzo gruby.

Fotografię ze zwierza zdjął na miejscu Staś. Skórę do domu przywieziemy...

Jan hr. Sierakowski

•»»»❋«««•

Polowanie na dziki na ponowie.

Nużące to polowanie, gdyż możliwe tylko przy większym śniegu i w górskich okolicach, gdzie o dzika nie trudno, opisuje p. Ernst w Nr. 18 „Deutsche Jäger“. Pogardza on polowaniem z naganką na dziki w parkach, gdzie są karmione i nawpół oswojone, przyrównywując je do rzezi niewiniątek, obszernie natomiast opisując trudność tropienia i dochodzenia dzika po śniegu. Pomijając liczne, teoretyczne uwagi, niepozbawione wielkiego interesu dla tej gałęzi polowania, zwraca on uwagę, że na takie polowanie niezbędny jest towarzysz, idący o sto kroków w tyle, gdyż łatwo zwichnąć nogę, przewrócić się na pochyłości, lub być okaleczonym przez dzika, atakującego w razie, jeśli go się nagle blizko zeszło w jego legowisku. Na legowisko obiera on sobie kotliny śnieżne, które tworzy zadymka przy wykrotach lub obalonych pniach drzew. Użycie „Ski“ w lasach jest niemożliwe, wskutek czego kilkogodzinne, a czasem całodzienne forsowne kopanie się w zaspach śnieżnych ze strzelbą, zawsze gotową do strzału, i przy natężonej uwadze, dostępne jest tylko dla młodych organizmów o żelaznem zdrowiu. Dziki czasem są bardzo płochliwe i pomykają tak daleko, że zaledwie dojrzeć je można, czasem zaś dotrzymują tak, że bez mała wlazi się na niego; zazwyczaj na nowiu są trwożliwsze. Czasem są zakopane tak pod śniegiem, że nic nie zdradza ich obecności, czasem zaś leżą na wierzchu pod krzakiem, pniem lub kupą siana. Przywiane śniegiem dotrzymują naturalnie najlepiej. Znajomość terenu jest tu naturalnie niezbędna. A oto opis kilku wycieczek.

Udałem się na zaproszenie nadleśnego do Karpat Węgierskich na polowanie na dziki po tropie. Cały tydzień wyczekiwaliśmy sprzyjającej pogody, gdyż z powodu odwilży i ciepła, dziki wyniosły się wyżej w góry w mało dostępne ostępy. Nareszcie chwycił przymrozek i wypadł obfity śnieg, i 22 stycznia mieliśmy wymarzoną ponowę. Pomimo długich poszukiwań, nie natknąłem się na ślad żadnej większej sztuki. Aby jednak nie wracać z pustemi rękami do domu, podążyłem śladem czterech drobniejszych sztuk, dotarłem do ich kotła przed wieczorem i ubiłem jednego warchlaka, a spudłowałem do drugiego.

Następnego dnia poszedłem przedewszystkiem znacznie wyżej w góry i po trzygodzinnym prawie marszu, podczas którego tropy tylko mniejszych sztuk przecinały mą drogę, natknąłem się nareszcie na trop dużej sztuki. Otaczający mnie teren wyglądał tak nęcąco, żem się spodziewał dzika lada krok, wskutek czego postanowiłem odpocząć i posilić się. Po posiłku udałem się tropem zwierza, który raptownie skręcał na lewo i stromo pod górę. Po upływie godziny, podczas której z pewnością nie uszedłem więcej jak kilometr, z powodu straszliwie trudnego terenu, zoczyłem

przed sobą dwa obalone wiatrem, olbrzymie buki, powalone na krzyż jeden przez drugi. W utworzonych w ten sposób widlach zebrała się cała olbrzymia zaspa śnieżna. Ponieważ trop prowadził właśnie do tej zaspy, a skrzyżowane, olbrzymie pnie uniemo- [illegible] cinek musiał być zaryty w tym miejscu. Musiałem jednak długo okiem przeszukiwać to stosunkowo niewielkie miejsce, żeby nareszcie ujrzeć czarną plamę. Przy bliższem wpatrywaniu się musiały się roz- [illegible] sił się lekki obłoczek oparu i oddychania. Aczkolwiek odległość wynosiła zaledwie 30 kroków, nie mogłem jednak być pewnym pozycyi dzika i postanowiłem ruszyć go z kotła. Ale jednocześnie z tem postanowieniem zawahałem się — przyznaję — bardzo silnie i obejrzałem się wokoło dla wynalezienia jakiejś bezpiecznej ochrony. Ochrony takiej jednak w pobliżu nie było, gdyż z po za olbrzymich pni leżących, wprost niepodobna było strzelać, albowiem przewyższały one swą średnicą wzrost ludzki. Nie pozostało mi więc nic innego, jak stanąć w rozwartym końcu wideł, który mierzył nie więcej nad 10 kroków szerokości. Sytuacyi takiej ręcącą nazwać niepodobna, gdyż w razie, jeśliby wycinek nie padł na miejscu z dymem, byłbym bez wątpienia przecień w tym miejscu, jako będącym na jedynej jego drodze, atakowanym. Atak zaś taki, wobec puszystego śniegu, a twardego i śliskiego pod nim gruntu, mógł dać poważnie do myślenia. Ale wahanie moje trwało tylko chwilkę. Huknąłem głośno na dzika raz i drugi. Za drugim okrzy- [illegible] odyńca. Był to wspaniały widok, gdy stanął pełny przeświadczenia swej potęgi, nastawiwszy uszy, miotając skry z maleńkich ślepiów i głośno kłapiąc potężnemi szablami. Chwilka, i huk strzału wstrząsnął zaśnieżonym lasem odwiecznym, tuman śniegu, kory i gałęzi wzbił się w widłach zwalonych kłód.

Jak piorunem rażony, zwalił się odyniec na tem samem miejscu, gdzie powstał.

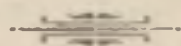
Druga przygoda, której ofiarą wprawdzie nie padł tak wspaniały, jak poprzednio, egzemplarz, była jednak o wiele więcej interesującą od pierwszej. Polowałem w południowej Bośnii pomiędzy Foka i Gako. Długo nakopałem się po górach, graniczących z Czarnogórzem, przy dobrej ponowie w odwiecznych lasach, nie napotkawszy nigdzie tropów dzika, i już myślałem o powrocie z tej, istotnie krzyżowej drogi, żeby nie dać się zaskoczyć przez noc w tych ostępach, gdym się natknął na trop ośmiu naraz dzików, przecinający mi drogę. Natychmiast podążyłem za nim i po upływie pół godziny natknąłem się na miejsce, gdzie bośniacy prowadzili swą wstrętną gospodarkę leśną. Nawet w miejscowościach, gdzie łąk jest dużo i obfitość traw kośnych, jest bośniak z zasady za leniwy, żeby w lecie zrobić dostateczny zapas siana dla swego inwentarza.

Z chwilą, gdy wyczerpie się skromny, zebrany zapasik, spuszcza on sobie wprost kilka pierwszych lepszych buków, aby z młodych ich pędów dostarczyć swym kozom pożywienia. Pnie, które tu są bez wartości, leżą i gniją w miejscu ich spuszczenia. Natrafiłem właśnie na takie miejsce, silnie śniegiem zawiane, z którego zaledwie sterczały grzbiety potężnych kłód. Wpadła mi w oko jakaś ciemna plama, którą z początku przyjąłem za sterczący kawałek kłody, gdy w tem plama owa ożyła i okazała się sporą maciorą, która w szalonem tempie z punktu zaczęła uciekać. Szybki strzał położył ją na miejscu, poczem, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, ożywiło się wszystko koło mnie. W punktach, gdzie nigdybym nie podejrzewał leżącego dzika, tworzyły się śnieżne wulkaniki, z których momentalnie wyskakiwały warchlaki, ale w liczbie, o wiele przewyższającej 7 sztuk.

Byłem narazie tak strapiony tem widowiskiem, żem nie był w stanie strzelać, i dopiero za jednym z ostatnich posłałem kulę, i to na ryzyko. Był to trzyletni wycinek, który zwalił się, jak kosą podcięty, po chwili jednak zerwał się i począł uciekać; następna dopiero kula położyła go na miejscu. Jak się później okazało, z drugiej zupełnie strony podeszło i zaległo [illegible] potworzone między gałęziami przez śnieg kotliny.

Dziki, przed ułożeniem się kluczą, jak i inne zwierzęta; idąc więc po tropie, trzeba jednak mieć oczy na wszystkie strony, gdyż nie rzadko dzik ru- [illegible]

B. S.



Z Prasy.

„Niedziela“, nazywająca się również „Poniedziałkiem“, w Nr. 20 z d. 12 marca zamieszcza następującą notatkę:

„— **Dlaczego?** Na co właściwie u nas ustawa łowiecka? Przepisy jej wyraźnie określają czas polowania na różne gatunki zwierzyny, są jednak zupełnie jawnie lekceważone przez wszystkich handlarzy zwierzyny, w Warszawie i na prowincyi, a są ich całe setki. We wszystkich handlach delikatesów, w jatkach, w sklepach spożywczych, na straganach targowych widać wszędzie całe stosy kuropatw, po większej części duszonych w sidlach, oraz dziesiątki cieciorek (kur cietrzewi), pomimo że mamy 11 marca.

[illegible] tego obowiązku, a panowie członkowie Klubu Myśliwskiego i Warszawskiej Spółki myśliwskiej nie dbają o to, pomimo iż widzą często zapewne na własnym półmisku zwierzynę bitą setkami w czasie jej ochrony.

Niedbałość ta o zwierzostan krajowy u tych, którzy sami zowią się „myśliwcami“, jest wprost skandalem“.

My też ze swej strony zapytamy autora powyższej notatki: dlaczego jest taki srogi dla owych „myśliwców? W zacietrzewieniu swojem posuwa się do imputowania im czynów występnych zupełnie na domysł — a tego przyzwoitemu pisarzowi czynić nie wolno.

Że policya nie spełnia w danym razie swoich obowiązków — to prawda, ale na złagodzenie jej winy w tym czasie wpływa może ta okoliczność, że zbyt zajęta jest łowieniem nielegalnie strzelających do ludzi, więc uchodzą jej baczności nielegalni zabójcy kuropatw. Jeżeli jednak autor „Dlaczego?“ tej okoliczności nie uwzględnia, to nie mamy nic przeciwko temu.

Co innego, gdy rzuca publicznie oskarżenie, że Członkowie Klubu Myśliwskiego i Warszawskiej Spółki myśliwskiej nie dbają o to, „pomimo iż widzą często *zapewne* na własnym półmisku zwierzynę, bitą setkami w czasie jej ochrony“. Tu już autor zupełnie nie ma racyi i puszcza wodze fantazyi, w której można upatrywać złą wolę. Nie wiemy, co robią Członkowie Klubu Myśliwskiego, który zresztą, jako klub, ma ściśle określone cele swego istnienia, ale ponieważ bardzo wielu źle poinformowanych nazywa Klubem Myśliwskim Towarzystwo prawidłowego myślistwa (a autor „Dlaczego?“ do zupełnie dobrze poinformowanych wcale nie należy), dlatego musimy zaznaczyć, że Członkowie Tow. praw myśl. bynajmniej na powyższe oskarżenie nie zasługują. Posiadając pozwolenie na kontrolowanie składów zwierzyny, we właściwym czasie rewizyj dokonywali i winnych pociągali do odpowiedzialności. Od lat paru oberpolicmajster m. Warszawy odmówił wydania takich pozwoleń, co dokonywanie rewizyi uniemożliwiło. W roku bieżącym Rada wystąpiła do oberpolicmajstra z przedstawieniem o skasowanie pieczętowania zwierzyny z chwilą zamknięcia sezonu myśliwskiego, co praktykowało się z polecenia magistratu, a co nie znajduje podstawy w przepisach myśliwskich z 1871 r. Wskutek tych zabiegów Rady, oberpolicmajster wydał rozpo-

rządzenie, aby wszelki handel zwierzyną po zamknięciu sezonu ustał. Wreszcie Rada nagradza pieniężnie organa policyjne, przestrzegające pilnie panowania rzeczonych przepisów na targach warszawskich. Czy wobec powyższego, zarzut niedbalstwa, rzucony Członkom Tow. praw. myśl., jest uzasadniony? Czy autora „Dlaczego" przekona to, że napisał nieprawdę? Pewnie nie, ale nam o to nie idzie, nam idzie o przekonanie interesującego się myślistwem, ogółu.

W dzisiejszych warunkach mało się da zrobić dla uregulowania handlu zwierzyną. Niebawem mają przyjść gruntowne reformy państwowe, przyjdzie więc i samorząd, do którego kompetencyi należeć będzie krajowe myślistwo, a wtedy nastanie pora wyregulowania spraw myśliwskich zasadniczo.

Zarzutu, czynionego z tego powodu Warszawskiej Spółce Myśliwskiej, nie odpieramy, bo to przecież humorystyka. Spółce handlowej, zorganizowanej dla wygody i utylitarnych korzyści myśliwych, narzucać obowiązki prawno-policyjne — to bardzo ucieszna farsa.

Doprawdy, jeżeli jest coś skandalicznego w owej wiadomości „Dlaczego?", to ona sama, jako napisana bez świadomości rzeczy i stosunków i ze złą wolą. A tak łatwo było nie robić skandalu, i tej wiadomości - nie napisać.

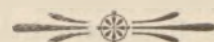
Korespondencye „Łowca Polskiego".

Siemkowice pow. wieluński:, *w marcu*.

Smutne, ale prawdziwe.

Z powodu stanu wojennego wogóle polowania w tym roku nie przybrały właściwych rozmiarów, ponieważ, chcąc się zjechać na polowanie, trzeba zaprosić brać z pod sztandaru św. Huberta, nieraz o kilkanaście mil mieszkającą, która należy do rodziny, lub naszych znajomych. Tymczasem mógł się znaleźć łatwo zakaz, że to jest rzeczą wzbronioną. Dotyczy się to myśliwych, postępujących legalnie, mających rok rocznie wydawane pozwolenia jak na broń, tak i prawo polowania. Rzecz inna co do kłusowników. Ci się nie liczą z przepisami i kodeksami. Nie mówiąc już o nocach księżycowych, polują po gruntach przyległych mi, sąsiednich folwarków, rozkolonizowanych, lub stanowiących własność żydowską. W biały dzień takie polowania odbywają się przy udziale do sześciu myśliwych i dziesięciu naganki. Owi pseudo - myśliwi nie liczą się z tem, że czas polowania już dawno minął; czy dzień jest świąteczny, czy powszedni. Sam odebrałem w tym roku po godz. 10-ej w nocy dwie bronie, jedną na swojem terytoryum, drugą o 30 kroków od swojej granicy. Kłusowników dwóch znanych mi z imienia i nazwiska, zasiadało co noc pod zagajami mojemi, lub cokolwiek opodal, żeby strzelać zwierzynę, która wychodzi na żer w polu nocą. Ustawiczne strzały w nocy i stanowiska, oraz znaki na śniegu od śrótu, świadczyły o pilności tych ludzi w ich rzemiośle. Udało mi się jednemu z nich odebrać broń, drugi wyrwał się z rąk trzymającego go człowieka i uciekł. Bronie złożyłem w powiecie naczelnikowi straży ziemskiej. W kilka dni spotkałem się z przejeżdżającymi żandarmami, z których jeden udzielił mi wskazówki, że to jest zakres straży ziemskiej odbieranie broni od kłusowników, bo osoba prywatna może być w podobnym wypadku obwinioną o (grabioż) rabunek. Straż ziemska mało zwraca uwagi na nadużycia łowieckich przepisów. To też można z całą sumiennością powiedzieć, że ilość nieprawnie trzymanych broni w naszej okolicy, dwukrotnie przewyższa liczbę wykupionych pozwoleń w powiecie. Noce księżycowe, mroźne rozbrzmiewają w całej okolicy ciągłemi strzałami. Mieszkam nieomal na granicy powiatów i też samo mogę powiedzieć, że i powiat nowo-radomski pod względem kłusownictwa nie jest szczęśliwszy. Kłusownictwo w ostatnich czasach wzmogło się. W miarę ubywania większej własności ziemskiej, zwierzostan zaczyna upadać, bo kolonista z małemi wyjątkami posiada broń, którą stara się przysposobić na każde święto kawałek mięsa, nie licząc się z porą roku, oraz zarobić na proch i tytoń ze sprzedaży zwierzyny, nie mówiąc o tem, że psy ustawicznie włóczą się całemi dniami i nocami po lasach i polach. Smutny fakt miał miejsce w naszej okolicy, w dominium Rychłocice; ofiarą swego obowiązku zginęło dwóch borowych z ręki kłusownika (niewiadomego nazwiska). Zwracam się przeto do wszystkich sfer, mogących mieć wpływ na te sprawy, żeby władze raczyły swoim wykonawcom polecić surowe wypełnianie powierzonych im obowiązków. A nasza fauna krajowa niech nie będzie po macoszemu traktowana. Stanowić ona może jedno ze źródeł dochodów gospodarstwa wiejskiego, jak to widzimy w Wielkiem Księstwie Poznańskiem i na Szlązku; dla ludzi zaś pracy przyjemną rozrywkę po trudach i kłopotach w codziennem życiu. Poczuwam się w obowiązku kilka tych zdań zamieścić w naszym „Łowcu Polskim".

Karśnicki.



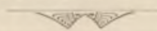
Z Towarzystwa Prawidłowego Myśiistwa.

Posiedzenie Rady, 21 marca. P. Adam Michalski, Członek Towarzystwa, posiadający w swoich dobrach piękne myślistwo, nadesłał Radzie wykaz ubitej zwierzyny w ubiegłym sezonie, który obejmuje 6,206 sztuk zwierzyny użytkowej i 6,758 drapieżników. Ciekawy ten wykaz podamy w następnym numerze „Łowca Polskiego". Rada postanowiła przesłać podziękowanie p. Michalskiemu za nadesłaną wiadomość, która świadczy, że gospodarstwo łowieckie w Borowniu prowadzone jest świetnie i stanowi jedno z najpierwszych w kraju.

Siedlecki gubernator nadesłał wykaz odebranej w r. z. przez straż ziemską broni myśliwskiej, z którego okazuje się, że odebrano tej broni 290 sztuk. Rada postanowiła przesłać 150 rb. na nagrody dla straży tej gubernii.

Jeden z Członków nadesłał kolekcyę obrazów myśliwskich, proponując nabycie ich dla lokalu naszego Oddziału. Rada postanowiła kupić cztery z nadesłanych dzieł sztuki.

Delegacya Wyborcza na posiedzeniu z d. 19 marca zaliczyła w poczet rzeczywistych Członków naszego Oddziału następujących kandydatów: pp. Koelichena Wiktora z Włoch i Kramma Roberta z Warszawy.



Kronika myśliwska.

(Prosimy Szan. Czyt. naszych o nadsyłanie wiadomości do tej rubryki).

W d. 8 października (st. st.) r. z. w Kozienicach (gub. podolska) polowano we dwie strzelby na bażanty. Na rozkładzie było 44 bażanty, 4 zające, 1 słonka; a także podniesiono dwa lisy, które dniem przed polowaniem strzelane były dubletem przez dozorcę gospodarstwa łowieckiego.

W d. 21 grudnia (st. st.) r. z. na polnem polowaniu w kociołki we 3 strzelby, na rozkładzie było 20 zajęcy.

W d. 31 grudnia (st. st.) r. z. polowano w lesie w 5 strzelb; na rozkładzie było 63 zające i lis.

W d. 2 stycznia (st. st.) polowano na bażanty w 4 strzelby; na rozkładzie było 11 bażantów i 3 zające.

W d. 31 stycznia (st. st). na nagance na bażanty jeden myśliwy zabił 11 bażantów.

Do powyższego należy dodać 31 kuropatw, strzelanych jesienią z pod wyżła, co stanowi: 90 zajęcy, 66 bażantów, 31 kuropatw, 1 słonka i 1 lis. Łącznie 189 sztuk.

W d. 22 stycznia odbyło się polowanie w Niewikli pow. płońskiego u p. Tadeusza Abramowicza, na którem zabito 81 zajęcy, lisa, 4 bażanty i 8 kuropatw. Królem polowania był p. Zygmunt Koelichen, mając na rozkładzie 23 zające, lisa, bażanta i kuropatwę.

W d. 2, 3 i 4 stycznia st. st. odbyło się na Ukrainie w dobrach Wierzchowieńskich Adama hr. Rzewuskiego (pow. skwirski, gub. kijowska) doroczne walne polowanie na szaraki i bażanty. Pierwszego dnia padło 102 koguty bażancie w rewirach Park i Holenderska Brzezina, do kur, wskutek znacznej, dorocznej sprzedaży jaj z Wierzchowieńskich bażantarń, nie strzela się nigdy. W pierwszym dniu do zajęcy też nie strzelano. Drugiego i trzeciego—w Mojsiejowickich rewirach Żarki, oraz Młoda Brzezina w sześciu miotach padło 147 zajęcy i 1 lis. Rudli sarn i danieli widziano mnóstwo, lecz ta szlachetna zwierzyna na wierzchowieńskich terenach odstrzeliwa się li tylko z podjazdu. Tak następnego dnia od ręki właściciela padł wspaniały daniel, dwunastak, strzelany z ekspressu Henike na odległość 142 kroków. Mogłoby paść przynajmniej drugie tyle zajęcy, lecz właściciel trzyma się zasady rok rocznie podnosić etat odstrzału około 50 sztuk, metodycznie i mniej więcej stale, i zdaje się, że ów system daje dobre rezultaty. Zające wychodziły na linie ognia poprostu stadami z dziesięciu i więcej sztuk, tak, że literalnie dwóch strzelb na stanowisku było za mało. W uroczych tych, błogosławionych widocznie przez św. Huberta łowach brali udział pierwszego dnia na bażanty p. Makarow, stojący na czele ruchu Poł. Zach. kolei żelaznej, znany śród myśliwych kijowskich ze swego słynnego trypletu z trzech dzików, dokonanego w lasach krzemienieckich hr. Berga, p. Eugeniusz Zajcow, znany adwokat z Kijowa, najlepszy towarzysz i myśliwy, co się zowie *de re et nomine*, Zardo, utalentowany kompozytor włoski, p. Wikarski z Warszawy, p. Bronisław Dymnicz, leśniczy dóbr Wierzchowieńskich, a strzelec dawnego autoramentu, p. Adam Dymnicz, brat jego, oraz sam właściciel polowania. Na drugi i trzeci dzień, oprócz tych samych myśliwych, jeszcze hr. Leon Rzewuski, pułkownik p. Benua, sztabsoficer do szczególnych poruczeń przy głównodowodzącym wojskami kijowskiego okręgu, z synem, p. Maryan Chądzyński ze Skwiry, równie znakomity prawnik jako i myśliwy, oraz pod opieką św. Huberta oddała się w ciągu jednego miotu bogini Dyana w osobie hr. Adamowej Rzewuskiej (słynnej śpiewaczki włoskiej, Olimpii Boronat), która dowiodła, że z równą łatwością ruluje szaraki w kniejach Zareckich, jak bierze swoje cudowne „mi naturale" na pierwszorzędnych scenach europejskich. Bratowa właściciela, z Lipkowskich hr. Leonowa Rzewuska też jako spektatorka przyjmowała udział w łowach. Z powodu spóźnionego czasu nie udało się opolować terenów bażancich w tychże samych Żarkach. Plan polowania i prowadzenia naganek pod kierownictwem p. Kadziewicza nadleśnego, p. Hoinki, głównego łowczego i zawiadowcy bażanciarni (Wierzchowieńskiej i Zareckiej), oraz p. Dymnicza, leśniczego, był wzorowym, za co im należy się szczere podziękowanie. Tylko przy takich współpracownikach właściciel mógł dojść do podobnych rezultatów wobec smutnych tutejszych warunków łowieckich i dojdzie niezawodnie przy swem zamiłowaniu, pracy i pomocy Bożej jeszcze do znaczniejszych rozmiarów zwierzostanu. Tereny Wierzchowieńskie też wiele zawdzięczają nieustannej, ogólnej pilności nad zwierzostanem zarządzającego, pana Bolesława Stawiskiego. Ilość kuropatw stale się podnosi na polach oraz w remizach majątku.

Nemrod Ukraiński.

Drobiazgi myśliwskie.

Kary. Z rozporządzenia tymczasowego jenerał-gubernatora gub. piotrkowskiej, mieszkaniec wsi Modrzew, w gminie Łagiewniki, Tomasz Gabrysiak, za przechowywanie myśliwskiej pojedynki bez kurka, skazany został na tydzień aresztu.

— Za znaleziony przy rewizyi flower, używany, jak wiadomo, do strzelania wróbli, został p. Suski z Przybór skazany administracyjnie na dwa tygodnie aresztu policyjnego.

Przeciw bocianom. Na ostatniem zebraniu warsz. sekcyi rolnej odczytał p. St. Janicki rzecz o racyonalnem zagospodarowaniu stawowem, podając na wstępie kilka dat historycznych o rybactwie w Polsce. Następnie zajął się głównie karpiem, jako najważniejszym przedmiotem hodowli w naszym kraju, przytaczając szczegóły biologiczne o tej rybie. Między innemi zasługuje na uwagę potępienie bociana przez prelegenta, który twierdzi, że hodowcy nie mają nawet pojęcia, jak znaczne szkody wyrządza bocian przy sztucznej hodowli karpia. Radzi więc tępić tego ptaka i nie liczyć się z niesłuszną sympatyą, jaką bocian cieszy się wśród ludu prostego.

— W Królewcu wydano rozporządzenie, pozwalające na strzelanie bocianów także w czasie od d. 1 marca do dnia 15 czerwca, pod warunkiem jednak, że stać się to może tylko tam, gdzie jest większa liczba bocianów, a nie do rzadko się ukazujących.

Z bieżącego sezonu. W dobrach Borszcze, w gub. podolskiej, położonych przy granicy gub. chersońskiej, w d. 13 marca (n. st.) zauważono kuropatwy w parach. Młode zajączki widziano już w d. 5 marca (n. s.). Ciąg słonek rozpoczął się dopiero 21 marca. Pojawiło się w tutejszych lasach mnóstwo kwiczołów, przelatujących dużemi stadami z miejsca na miejsce, czego dotąd tutaj nie obserwowano. Istną plagą od kilku dni są wilki. W sąsiednim majątku Mosznigi w lasach i na polach zrobiły one w inwentarzu znaczne szkody. Od kilku lat tutaj trudno było się spotkać z wilkiem. Wydane przez władze rozporządzenie o składaniu i konfiskowaniu nielegalnie trzymanej broni, niewątpliwie przyczyni się do podźwignięcia zwierzostanu, warunki bowiem klimatyczne i położenie gruntu są bardzo sprzyjające do rozmnożenia zwierzyny. *J. R.*

Wystawy rogów. We Frankfurcie, nad Menem, odbyło się w d. 26 marca otwarcie wystawy rogów, która trwała do dnia 29 tegoż miesiąca. Odwiedzili ją nietylko myśliwi, lecz i szersza publiczność, zainteresowana niezwykłemi trofeami wszelkiego rodzaju. Szczególny interes budziło 50 indyjskich trofeów myśliwskich kapitana Kauffmanna.

— W Hannowerze urządzono wystawę rogów, która trwała trzy dni, od 16 do 18 marca, zawierając około 1,000 trofeów.

O importowaną zwierzynę. Myśliwi zawodowi stwierdzają coraz częściej, że zwierzyna, importowana z Węgier i Czech, nie znosząc nowego klimatu, choruje ciężko. Tak więc zające ulegają suchotom płucnym, a ptactwo różne zapada na cholerę.

Przyczyny braku zajęcy w r. 1905. P. Karol Sobotka z bażantarni Pirnickiej pisze o stanie zajęcy w Niemczech, co następuje: Niezwykła susza w 1904 roku była także przyczyną braku żeru dla zajęcy. Wiadomo zaś, że złe odżywianie wpływa na matki rodzące, które w takich razach wydają na świat więcej samców. Stwierdzono też, że po roku 1904 zające-samce stanowiły $^3/_4$ noworodków, wskutek czego rok następny odznaczał się małym przyrostem zajęcy.

Zwiastuny wiosny. W d. 25 lutego stwierdzono pod Drenznem rozpoczęcie tokowania cietrzewi. Pod Frankfurtem, nad Odrą, widziano w d. 21 lutego skowronki, w d. 22 dzikie gęsi, w d. 26 czajki, w d. 9 marca bociany.

Niezwykły cietrzew. P. E. Pfizenmayer z Petersburga otrzymał niedawno ciekawego cietrzewia, ubitego w gub. nowogrodzkiej, a będącego częściowo albinosem. Po bliższem zbadaniu istnieje przypuszczenie, że to mieszaniec cieciorki z pardwą.

Konkurs strzelecki urządza „Dyana“, berliński klub myśliwski, z okazyi dziesięciolecia istnienia klubu. Konkurs, dla wszystkich przystępny, będzie trwał cztery dni, od 17 do 20 czerwca.

Ślinienie się psa jest rzeczą wstrętną; częstokroć pies, będąc w pokoju, zanieczyszcza z tego powodu meble lub ubranie. Mniemanie, że na to niema rady żadnej, jest niesłuszne, jak również nieprawdziwe jest twierdzenie, iż gryzienie kości wzmaga to ślinienie. Już sam widok suchego chleba, zapach rzeczy kwaśnej wystarcza, by u psa wywołać obfite wydzielanie się śliny, jako przygotowanie do łatwiejszego trawienia, albo rozcieńczenia kwasu. Ale ta ślina nie powoduje wytwarzania się cienkich nitek, które ciągną się z pyska; one powstają z nagromadzenia się śliny u ras, odznaczających się grubemi wargami, na których nocą, kiedy pies oddycha bardzo spokojnie, zbiera się dużo śliny. U psów myśliwskich ten objaw niesympatyczny występuje rzadziej, ponieważ one zwykle nie mają grubych warg i fałd koło szyi. Ale wogóle jest na to środek bardzo łatwy. Zrana obmywa się wewnętrzną stronę warg wodą z małą domieszką kwasu bornego, za pomocą gąbki, poczem pies nie ślini się dzień cały. Psy tak się z czasem przyzwyczajają do tej czynności, że same jakby przypominają rano o tej drobnej manipulacyi.

Praska wystawa rogów trwała od 10 do 12 lutego, zawierając rogi zwierząt, ubitych w Czechach wyłącznie w r. 1905. W dziale jeleni otrzymał I nagrodę książę Józef Ferdynand Lobkowic za ośmiastaka, II zaś za szesnastaka ks. Schwarzenberg. W dziale kozłów I i II nagrodę wziął ks. Trauttmansdorf. Za rogi danieli wzięli I nagrodę Karol v. Wessely, a II— ks. Löwenstein.

PRZYSŁOWIA MYŚLIWSKIE.

Zebrał z „Księgi Przysłów“ J. O. (*C. d.*)

Kozieł.

1. Co wolno kozłowi, nie wolno osłowi.
2. Im koziel starszy, tem róg twardszy.
3. Gdy kozła rzną, drży skóra na baranie.
4. Jak z kozła: ni mleka, ni wełny.
5. Jeden kozła doi, a drugi przetak trzyma.
6. Kozła doić próżno.
7. Kozłu rogi nie ciężą.
8. Na kozła upartego niema lekarstwa żadnego.
9. Nic nie nada kozłu brodę golić.
10. Niema kozła bez brody i jarmarku bez złodziei.
11. Stary koziel, twardy róg.
12. Twardy kozieł do dojenia.
13. Zaklinam cię przez koźle rogi!
14. Z kozła stał się owcą.
15. Z kozła zrobił barana.
16. Zrobi z niego i kozła i barana.

Kraska.

1. Jak przyleci kraska, to Boża łaska.
2. Kraska krukowi kracze, a kruk na to skacze.
3. Kraska: pół dyabła, pół ptaszka.
4. Piękna temu kraska, kto pawia nie widział.

Krogulec.

1. Gorąca miłość, sanna droga, krogulcze pole i głos dyszkantowy nie długo trwają.

Królik.

1. Niejedną dziurę królik ma do jamy.
2. Tyle ma dzieci, co królice.
3. Mnożą się, jak króliki pod piecem.
4. Oczy, jak u królika (czerwone).
5. Wybrał się na dzika, zastrzelił królika.
6. Oczy mu się śmieją, jak królikowi. (*C. d. n.*).

STRZELANIE DO GOŁĘBI.

Monte-Carlo.

D. 7 marca. Prix de Laghet (handicap). I nagrodę (2,950 fr. i przedmiot wartościowy) zdobył p. Journu ($31^1/_2$ metra), zabiwszy 11/11 gołębi. II nagrodą podzielili się pp. Alex (22 metry) i Davis (20 metrów), , zabiwszy po 10/11 gołębi. III i IV rozdzielili między siebie pp. kap. Leighton (28 m.) i margr. de Longueil ($27^1/_2$ metra), mając po 9/10 zabitych gołębi. P. Horodecki odpadł w tej puli przy pierwszym gołębiu.

D. 12 marca. Prix du Cap. St. Jean (27 metrów). I i II nagrodę w ogólnej sumie 2,025 fr. podzielili się pp. Horodecki i bar. de Mevius, zabiwszy po 7/7 gołębi. III nagrodę zdobył p. Hans Marsch (6/7 gołębi).

Treść Nr. 7 „Łowca Polskiego“.

Prenumerata „Łowca Polskiego“ wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie 1 rub. 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop. kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO“ 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO“ prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO“ Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego“ adresować należy: Smolna 34, w Warszawie.

112

Redaktor i wydawca Jan Sztolcman. Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa, Nowy-Świat 41.

Nr. 8. *Warszawa, d. 16 Kwietnia 1906 r.* *R. VIII*

Łowiec Polski

Kantor Redakcyi „Łowca Polskiego:" Warecka 15 w Warszawie.
(Listy do Redakcyi „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 34).

KALENDARZYK MYŚLIWSKI.

W kwietniu wolno polować na: dziki, łosie (byki), sarny (rogacze), głuszce (koguty), cietrzewie (koguty), jarząbki (koguty) słonki (na ciągu) i kaczory [illegible] (14) i na wszelkie ptactwo przelotne.

Uwaga. Przepiórek strzelać nie należy aż do czasu otwarcia sezonu na kuropatwy.

Łunacya w kwietniu.

Ostat. kwad. d. 15 o g. 10 m. 1 w.
Nów d. 23 o g. 4 m. 31 pp.

Wschód i Zachód Słońca

w kwietniu

Dnia	Wschód		Zachód	
	g.	m.	g.	m.
16	5	4	6	57
17	5	2	6	59
18	5	0	7	1
19	4	57	7	2
20	4	55	7	4
21	4	53	7	6
22	4	51	7	8
23	4	49	7	9
24	4	46	7	11
25	4	44	7	13
26	4	42	7	15
27	4	40	7	16
28	4	38	7	18
29	4	36	7	20
30	4	34	7	21